

Zbigniew JEZOWSKI
ul. Kościuszki 17
33-300 Nowy Sącz

Woj. Stanisławskie
Kustanajska obl. Kazachst. 1990 - styczeń - 06
K-2 Porozozna

Otrzyma 2.5.90

© ARCHIWUM WSCHODNIE

a/a JB 10.8.90

II/677

WSPOMNIENIA

z początku II Wojny Światowej
i z zesłania do Kazachstanu / 13.04.1940 - 25.10.1944 /

Pod wpływem Związku Sybiraków - Oddziału w Krakowie - do którego zapisałem się w listopadzie 1989 r. i za namową prezesa tego związku - p. Wiesława Krawczyńskiego - postanowiłem sięgnąć do najnie najlepszej już pamięci / 44 lata po zsyłce do Kazachstanu / i przywołując przeżycia tamtego okresu napisać wspomnienia.

Nasza rodzina składała się z czterech osób - ojciec mój Jan Jeżowski, moja matka Maria, starszy ode mnie o 8 lat brat Lesław /do rozpoczęcia wojny w 1939 r. student I roku teologii na Uniwersytecie Lwowskim/ i oczywiście ja, Zbigniew. Mieszkaliśmy w Tłumaczu /województwo stanisławowskie/, na ulicy Skwaackiego 5. Właśnie skończyłem 4 -tą klasę Szkoły Powszechnej w Tłumaczu. Do dzisiaj zachowane są moje świadectwa z tej szkoły. Miałem 11 lat i wielkie marzenia o lepszym jutrze, jak każdy chłopak w moim wieku. W domu naszym panowała atmosfera patriotyzmu i miłowania ojczyzny. Szanowano i podziwiano osiągnięcia marszałka J. Piłsudskiego. Dodać muszę, iż wychowywałem się w domu niezwykle religijnym, w którym podstawy wiary i miłość do Pana Naszego - Stwórcy i Zbawiciela - stawiane były zawsze na pierwszym miejscu.

Mój ojciec pełnił od kilku lat funkcję V-ce Starosty Powiatowego w Tłumaczu. Był zagorzałym wielbicielem Rzeczypospolitej Polski, zdyscyplinowanym pracownikiem administracji państwowej i orędownikiem polskości wśród Ukraińców zamieszkujących nasze województwo. Pasją ojca były pogadanki, odczyty oraz misja niesienia oświaty patriotycznej, jednoczącej wszystkich Ukraińców i Polaków. Ku strapieniu mojej matki, prawie zawsze w niedzielę, tuż po wczesnym obiedzie wyjeżdżał służbowym autem na tego rodzaju zebrania. Jeździł do odległych wsi, wracając do domu późnym dopiero wieczorem. Imponowało mi to zaangażowanie ojca w sprawy państwowe, a jego wyjazdy w teren nęciły mnie i poruszały. Często więc zabierał mnie z sobą. Bawiła mnie jazda nowym, sprawnym samochodem służbowym, poza tym widziałem po drodze tyle ciekawych rzeczy... Zebrania i spotkania ojca z ludźmi były czasem sceną gorących dyskusji społecznych, niebezpieczne wydawały się pomrukiwania nacjonalistycznej widowni ukraińskiej. Groźnie to wyglądało i aż strach było wracać późnym wieczorem przez wsie ukraińskie.

Wybuch wojny we wrześniu 1939 r. zastał moją rodzinę - z wyjątkiem ojca - na wakacjach, które jak co roku spędzaliśmy w Nowym Sączu i Piwnicznej. Tam urodzili się moi rodzice. Rozpoczęły się bombardowania wojenne. Chcieliśmy być razem z ojcem, dlatego w dniu 5-go września wyjechaliśmy z Sącza ostatnim pociągiem ewakuacyjnym na wschód, do Stanisławowa. Podróż trwała dwa dni. Na stacji w Stanisławowie czekał na nas służbowy samochód ojca. Radość ze spotkania była ogromna, lecz natych-

miast przzerwana nalotami niemieckich samolotów. I tutaj bombardowały!

W Tłumaczu ogarnął wszystkich niepokój. Więści radiowe donosiły o naporze wojsk hitlerowskich na wschodnie ziemie Polski. Ruch nacjonalistyczny Ukraińców dążących do rozprawienia się z Polakami, narastał. Aby oniesłmielić ich poczynania, w centrum miasta, w parku kwaterował jakiś oddział wojska polskiego. We wsiach przygotowywano się do napaści na Tłumacz. Mój ojciec, pełen poświęcenia dyżurował stale przy telefonie w Starostwie. Sam Starosta Powiatowy opuścił już miasto.

Nadszedł straszny dla nas dzień - niedziela 17 września 1939 roku. Na wieść o wkroczeniu wojsk radzieckich na teren Polski, osmieleni tym Ukraińcy ruszyli na Tłumacz, nadciągając z okolicznych wsi. Ubrojeni w łomy i drągi, z workami na żupy, dokonywali aktów grabieży i przemocy na Polakach, szczególnie na peryferiach miasta. W nocy, z poniedziałku na poniedziałek, rozległy się strzały, a potem krzyki. Rano zastaliśmy w mieście inny świat. Żołnierze Armii Czerwonej wałęsali się i koczowali na ulicach. Gdzie indziej leżały zabite konie. Miasto wyglądało żałośnie. Żołnierze radzieccy odziani byli w długie płaszcze - szynele z dzianiny, w rozlatujące, związane sznurami buty brezentowe, na głowach nosili charakterystyczne czapki z dziubkiem i czerwoną gwiazdą, na plecach zaś worki związane w węzełek oraz karabiny z długimi bagnietami. Trochę lepiej prezentowali się oficerowie.

Wieczorem 24-go września, zjawili się w naszej kamienicy funkcjonariusze NKWD i ukraiński milicjant. Mocne walenie w drzwi napłynęło nas grozą. Czego od nas chcieli? Pod pretekstem rewizji - których wtedy tak wiele nie przeprowadzano - przetrzasnęli całe mieszkanie. Nie znaleźli jednak niczego, co rzucałoby jakiegokolwiek podejrzenie o antyświecką działalność mojego ojca. Mimo to, zażądali by z nimi poszedł. Nie rozumiałem wtedy, że jest aresztowany. Matka podała mi futro na drogę, które przydało się zresztą w więzieniu, gdzie został osadzony na czas bliżej nieokreślony. Matki nie dopuszczano do niego. Odwiedzać go mogłem tylko ja, ze względu na mój chłó pięć wiek. Znosiłem mu obiady i czystą bieliznę. Wiara ojca w zwycięstwo polskich ideałów załamana się. Stracił nadzieję na odzyskanie wolności.

W tym czasie brat mój przebywał we Lwowie, gdzie uczęszczał do Seminarium Duchownego. W domu zamieszkała ze mną i z mamą moja ciotka Zofia - nauczycielka z Pilawszczyzny. Po miesiącu wygnano nas stamtąd, a naszą "trójkę" przygarnęła p. Gabalińska, mieszkająca niedaleko dworca kolejowego, z dala od miasta. Tam doczekaliśmy się wywozu do Związku Radzieckiego. Pierwszy transport Polaków do ZSRR odjechał w lutym 1940, drugi - 13 kwietnia, a trzeci i chyba ostatni w czerwcu 1940 r. Opuuszczając Tłumacz nie przypuszczaliśmy, że już nigdy nie zobaczymy ojca. Nigdy też nie dowiedzieliśmy się jak i kiedy zginął, i gdzie spoczywają jego prochy...

40a. Około północy, 13 kwietnia obudziło nas NKWD. Ukraińscy milicjanci kazali nam się szybko spakować. - Poskariej! Poskariej! - popędzali. Moja matka i ja byliśmy przerażeni. Tylko ciotce - bardziej wtedy przytomnej - udało się coś niecoś schować do walizek i tobołów. Nie było zresztą tego tak dużo - niedawno okradzione nas z cennych rzeczy, może dlatego, że mieszkaliśmy na uboczu, w polu.

Pod dachem stała furmanka chłopska, która zawiozła nas na stację kolejową. Dowiedziano już tam sporo ludzi. Pakowali nas, tłoczyli jak bydło do wagonów towarowych, bezładu i szkańca. Wszędzie słychać było płacz dzieci i pojękiwania kobiet, przerażonych wyjazdem w nieznaną. Pamiętaj, że mętozyna było mało. Transport nasz składał się z około 30 -tu wagonów. Okna wagonów pozabijano deskami, drzwi pozamykano szlabanami, a do ochrony transportu przydzielono żołnierzy - konwojentów.

Przez stację rozdzielczą Pałachicze, dalej przez Niżniów naszymi do granicy polsko - radzieckiej. Tam przeładowano nas do podobnych, lecz większych wagonów. Pozamykani w nich, bez dostępu do światła dziennego i świeżego powietrza, o chłódzie i głodzie pojechaliśmy w nieznany kierunek. Wycięta w podłodze dziura imitowała ubikację, ale i do tego przystosowaliśmy się po jakimś czasie.

Każdy dzień jazdy w wagonach - więzieniach oddalał nas od umiłowanej ojczyzny. Nie udzielono nam żadnej informacji dokąd jedziemy. Nękała nas niepewność naszych dalszych losów, co się z nami stanie? Czy NKWD zastosuje wobec nas wypróbowane już metody terrorku i udręki? Wśród nas były przecież Niemowlaki...

Jechaliśmy przeważnie dniami, zatrzymując się na stacjach w nocy. Otwierały się wtedy drzwi wagonu. Można było wyjść i przynieść ze stacji tzw. "kipiak" - gotowaną wodę z kranu oraz trochę chleba. Ludzie radzieccy, których spotykaliśmy na postojach, odnosili się do nas z rezerwą i rzadko kiedy okazywali nam pomoc. Byli przekonani, że w tych transportach jada pojmani przez ich wojska wrogowie władzy radzieckiej. Uważali nas za burżujów, kulaków, gnębicieli ludu itp., sami zaś czuli się twórcami nowego, wyższego ładu społecznego, wspaniałej przyszłości dla całej ludzkości.

Po tygodniu wyczerpującej jazdy, na stacji Ufa, konwojenci podbijali deski i otworzyli drzwi. Wkrótce znaleźć się mieliśmy w Azji. Przyklepiony do naszego okna wagonu zobaczyłem duży obelisk z napisem "Azja". Wjeżdżaliśmy więc na teren Azji, pokonując opornie górzysty Ural. Tuż za Uralem krajobraz zmienił się nagle na jakiś dziwnie obcy, dziki i opustoszały. Na pierwszej, azjatyckiej stacji transport nasz stanął. Pojawili się skończpocy tubylcy, chętnie dzieląc się z nami pieczonymi pierożkami, chlebem i mlekiem, za darmo lub za jakieś stare ciuchy. Nie wiele z nimi porozmawialiśmy. Jechaliśmy dalej przez różne lasy i góry, przejeżdżaliśmy przez miasto z wielkimi hutami i piecami odlewniczymi. Wreszcie, po 14 -tu dniach jazdy z Tiumacza, gdzie w polu nad ranem zbudziły nas nawoływania:

- Wygruzajcie się! - trzeba było wysiadać. Po otwarciu drzwi ujrzeliśmy bezkresną równinę. Wkoło jak sięgnąć okien, rozciągała się pustka. Żadnych drzew ani zarośli - step i tylko step, pokryty wysoką trawą żółto-beżowego koloru. To było miejsce przeznaczenia, kres naszej wędrówki. W dali wstawało olbrzymie, olśniawające słońce, które bardzo oślepiało nasze oczy, przyzwyczajone do mroku wagonów.

Żołnierze - konwojenci oznajmili, że w tej okolicy będziemy mieszkać i pracować dla dobra Kraju Rad. Za chwilę podjechały ciężarówki i wsiadaliśmy do

niech, znów jadało w nieznanym, szerokim stepie. Oblani słońcem i zapachem czystego powietrza, minęliśmy osiedle niskich lepianek i kilka murowanych domów - była to Pieszkówka, rejon i siedziba władz terenowych. Przez następną godzinę nie zobaczyliśmy żadnych zabudowań. Czuliśmy przerażenie i rozpacz, moja matka była szamana. Wydawało się mogło, że jazda ciężarówką i ten step nie ma końca...

Po jakimś czasie zatrzymaliśmy się pod murowanym budynkiem w stepie. Mieściła się tu podstawowa szkoła - klasowa szkoła. Od niej ciągnęły się dwa szeregi niskich lepianek. To było miejsce naszego zesłania - kołchoz Priszjorna 50% ludności stanowili Kirgizi, druga połowę zaś Ukraińcy, Rosjanie.

Wyładowano nas z ciężarówek i rozlokowano pod ścianami sal lekcyjnych, a także w korytarzu szkoły. Delegat z rejonu zakomunikował nam o przyjęciu mieszkańców kołchozu, którzy dadzą nam pracę i zakwaterowanie u siebie. Byliśmy zadowoleni - jak to będą nas oglądać i przebieierać, jak towar w sklepie?

Rzeczywiście, był to przykry moment. Frymitywnie ubrani, niektórzy skośnocy z wystającymi zębami jarzmowymi na twarzy, kołchoźnicy oglądali nas, dotykali i wybierali. Moją rodzinę wybrała starsza, schorowana Rosjanka. Zaprowadziła nas na koniec kołchozu, do bardzo małej lepianki. Lepianka składała się z obory, z której wchodziło się do kuchni, oraz z jednej, większej izby. Podłoga wylepiona była ubitą gliną. W jednym rogu izby stał piec z legowiskiem na górze - tzw. piezka. Ktoś tam leżał. Usadeciono nas w drugim rogu izby, obok piezki. Ten kąt był dla nas wszystkim, i łóżkiem, i szafą, i stołem. Z potrzebami fizjologicznymi trzeba było wychodzić na sewnątrz, na lepiankę. A tam nie stało żadne ogrodzenie, tylko wkoło rozciągał się szumiący step.

Już po pierwszym dniu zorientowaliśmy się, że osobnik płci męskiej spoczywający na piecu jest ciężko chory. Gorączkował i co jakiś czas solidnie spluwał na klepkę glinianą - prawdopodobnie miał gruźlicę płuc. W tej sytuacji mama z ciotką zaczęły szukać innej kwatery. Niedaleko "naszej" lepianki, również na końcu osiedla, obok szkoły stał mały, murowany budynek mieszkalny, zbudowany z dużych, glinianych kłoców, z dachem pokrytym wysuszoną trzcina. Składał się z obory, kuchni i pokoju o sporym metrażu. Drzwi - co było tutaj już komfortem - oddzielały poszczególne pomieszczenia. Gospodarze wraz z córką mieszkali tylko w kuchni, pokój przeznaczony na spichlerz zboża i kartofli. Zaczęliśmy ich gorąco prosić i namawiać, aby przyjęli nas do siebie, ze względu na chorobę gospodarza u którego mieszkaliśmy. W końcu trzeba było im coś podarować i po miesiącu starania zmieniliśmy miejsce zakwaterowania.

Wielkorusen Ivan Czerniej - tak nazywał się nasz nowy gospodarz - był starszym wiekiem Rosjaninem, inwalidą. Jego żona także kulą na lewą nogę. Mieli dwie córki; jedna, będąc nauczycielką mieszkała w mieście Czelabińsku, druga - młodsza Wiera - chodziła do szkoły. Była o rok starsza ode mnie. Umieścili nas w pokoju, z którego usunięto zboże i kartofle, ustawili tam łóżko i snop słomy. Moja matka i ciotka spały na łóżku, ja zaś na przychy pod oknem. Trzy okna w pokoju nie były duże, ale to może i lepiej, bo zimą było cieplej. Nasze odzież wisiała na ścianie, przykryta płótnem - szafy bowiem nie było.